

LEON DURKA

ALINA

SEKRETY TRZECIEGO WIEKU

Książkę tę dedykuję wszystkim Alinom.

Wstęp

Historia, w której wspomnienia dwóch różnych osobowości mieszają się z rzeczywistością, a wewnętrzna siła, pomimo ograniczeń wieku pcha ku życiu...

ALINA

Czas na mnie

Wczoraj skończyłam osiemdziesiąt dziewięć lat. Czas na mnie. Wcale się sobie nie dziwię, że chcę, że chyba już powinnam przenieść się na tamtą stronę. Na tamtą stronę, tylko czego? Może czasu? Na drugą stronę zegara, gdzie wszystko jest odwrotne, inne, nieodgadnione, ale jest. A jak nie ma? Dlaczego miałoby nie być? Naukowcy uważają, że nasz świat nie jest jedyny. Podobno nawet udowadniają istnienie innych wymiarów. Skoro one są, to znaczy, że po śmierci gdzieś pójdę...

Wyglądam przez okno swojego małego mieszkanka na czwartym piętrze. Staś powiedział, że mieszkanko małe, i za nim to powtarzam, ale tak naprawdę

dziesięć metrów kwadratowych większe od tego, w którym mieszkałam przez pierwsze osiemdziesiąt pięć lat życia. A teraz, gdybym tak w tym większym, miała mieszkać kolejne osiemdziesiąt pięć lat, to byłaby dopiero katorga. Dobrze, że chociaż mam za oknem park.

W dniu urodzin, czyli wczoraj, byłam w tym parku. Przez przypadek. Zjadłam obiad, poszłam do pokoju, gdzie ujrzałam siną postać, siedzącą w moim fotelu. Wywróżyłam sobie. Jak człowiek za dużo o czymś myśli, to mu się czasem sprawdza. Zimne dreszcze przeszły mi po plecach, ale udałam, że jej nie widzę. Wymagałam głośno i dobitnie co myślę o nieproszonych gościach, szkoda tylko, że nieskutecznie. Postać tkwiła na swoim, a raczej na moim ulubionym miejscu, nie zwracając uwagi na fakt, że ją wypraszam. Zignorowała mnie. Nikt nie lubi być zlekceważonym, a szczególnie ktoś, kto ma duże doświadczenie życiowe, swój podeszły wiek i związane z tym wymogi odnośnie szacunku, czyli mówiąc krótko, ja. Nie zwracając uwagi na intruza, narzuciłam na plecy sweterek i podpierając się laską, wyszłam z domu.

Ulica była prawie pusta, zalana słonecznym blaskiem. Skierowałam się do parku. Żeby się dostać w zielone aleje, w otoczenie wspaniałych drzew i

kwitnących krzewów trzeba przejść przez szeroką jezdnię. To dla mnie zawsze stanowi duże wyzwanie. Przed przejściem dla pieszych stała młoda kobieta, opierająca się na poręczy dziecięcego wózka. Rozmawiała przez telefon, co jakiś czas wybuchając salwą śmiechu. Byłam tuż przy niej, kiedy wózek wymknął się spod kontroli i ruszył w kierunku jezdni, wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu. Zamarłam. Moja wielowarstwowa, budowana przez dziesiątki lat z taką zapalczywością wyobraźnia eksplodowała. Nawet w myślach usłyszałam huk. Widziałam zderzenie dwóch pojazdów: samochodu i wózka, ogromny impet, który wyrzuca niemowlę niczym kamień z katapulty i jego paraboliczny lot, a potem upadek wprost pod koła jadącej w przeciwnym kierunku ciężarówki. Następnym obrazem była trauma na twarzy kierowcy i szok wykrzywiający upudrowaną buzię paniusi w grymasie przerażenia.

Usłyszałam, tym razem na jawie, pisk opon, odgłos charakterystyczny dla ostrego hamowania. Jak mogłam najszybciej rzuciłam się do przodu i z całej siły wcisnęłam laskę pomiędzy szprychy jednego z kół wózka. Stał dęba, zachwiał się, zakołysał i zatrzymał tuż przed krawężnikiem. Ja także przechyliłam się

niebezpiecznie i sama nie wiem jakim cudem udało mi się zachować pozycję pionową.

Matka dziecka popukała się w czoło i potok jej słów wypełnił powietrze. Stara kobieta powinna siedzieć w domu, by nie ryzykować, że się przewróci i zrobi sobie krzywdę, a może i innym. Na spacer w pewnym wieku należy chodzić pod opieką. Przeżyła tyle lat i taka bezmyślna. To o mnie. A o kierowcy, że cham, bezmyślny, pirat drogowy. Wezwie policję, która da mu nauczkę.

Przestałam rejestrować, co wykrzykuje. Chciałam wyjaśnić, że ledwie udało się zapobiec tragedii i wszyscy powinniśmy się raczej cieszyć, ale nie mogłam złapać tchu. Udało mi się wyszarpnąć laskę spośród lekko pogiętych szprych. Podniosłam moją broń do góry, jakby z zamiarem zaatakowania damulki, która nagle zamilkła i popędziła czym prędzej przed siebie.

Wykrzyczała, że mam starczą demencję i powinnam leczyć się w wariatkowie. Co ona wie o wariatkowie – zapewne nigdy tam nie była, ale być może wszystko jeszcze przed nią, jest zdaje się na dobrej drodze. Głupia pusta lala. Gdybym puknęła ją laską w głowę, po okolicy rozniósłby się głuchy odgłos pustego w środku bębna.

Samochody stały i czekały na mnie. Pełna mobilizacja, laska do przodu i idę. Byłam na wysokości forda (rozdzielam niektóre marki) tego, który hamował z piskiem, automatycznie spojrzałam na kierowcę. Odprowadzał mnie wzrokiem z uśmiechem na twarzy. Wychylił się z samochodu i krzyknął, że życzy babci (czyli mnie) miłego spaceru. Pomachałam laską niczym buławą. Chciałam odwzajemnić życzenia, ale nie dałam rady. Wszystkiemu winna zadyszka.

Co ci ludzie sobie myślą? Chodzą po ulicach i po parku tacy smutni i zamyśleni, a życie im ucieka. Wchodzą na jezdnię pod koła nadjeżdżających samochodów. Nie pomyślą, że taki hamujący pojazd, to więcej dymi, więcej smrodu trującego zostawia w powietrzu. Nie lepiej zaczekać minutę na zmianę światła? Skrzyżowanie jest oddalone od tych pasów około stu metrów. Ależ ktoś wymyślił. Powinno nie być pasów a przejście należało zrobić tylko przy skrzyżowaniu – niech chodzą, przynajmniej smrodu będzie mniej i nerwów mniej, i spacer dłuższy, dla zdrowia. Tylko, że ja bym nie poszła na około. Nie dałabym rady. Chyba, że z balkonikiem, ale z nim chodzę rzadko i kiedy muszę. Ale to mniej ważne niż ten smród.

Kiedy patrzę na te wypełnione smutkiem twarze

młodych, to czasem zdaje mi się, że oni nie myślą, nie czują, niedowidzą i tylko ciągle gdzieś się śpieszą. Ciekawe, czy jak już zdążą, to chociaż się z tego cieszą? Czy lecą na łeb na szyję dalej? Niektóre matki z wózkami chodzą jak gazy. A może mnie się to tylko zdaje, bo ja chodzę wolno i z laską, i coraz częściej z balkonikiem? To może mi się zdawać, ale że są smutni, to fakt.

Z parku wróciłam wycieńczona i długo nie mogłam dojść do siebie. W fotelu nie zastałam nikogo. Pod wieczór przyszedł Stasio z żoną i córkami, była siostrzenica Iza, była sąsiadka z trzeciego piętra, moja opiekunka Lucyna oczywiście i każdy o innej porze. Mam piękne kwiaty, prezenty: skarpety, nowy czajnik elektryczny i płytę z piosenkami Marka Grechuty – od Stasia, szal – od siostrzenicy i perfumy – do Lucynki. Tak naprawdę to woda kwiatowa, ale pachnie ładnie. Wszyscy mi życzyli kolejnych lat w zdrowiu i pogodzie ducha. Tylko po co, skoro na mnie czas? Mówię im to szczerze, a oni, że to niemożliwe, że taki przedwojenny materiał nie zużywa się, i że mam dobrą kondycję i tak dalej. Jakbym była zrobiona z żelaza, albo z mosiądzu.

Już nie chce mi się. Są rzeczy, do których się zmuszam. Doktorka kazała pić wodę – nie mam pragnienia, więc się zmuszam, trzeba się umyć –

Lucyna targa mnie do i z wanny – przeżycie traumatyczne (to takie nowe słowo, z którym zapoznałam się niedawno), ale muszę, bo sama woda kwiatoła nie pomoże. Muszę jeszcze jeść, brać lekarstwa, mierzyć ciśnienie trzy razy dziennie i zapisywać (ale o tym zapomnieli, bo nikomu kartki z zapiskami dawno nie pokazywałam), patrzeć na ludzi na dole (bo co innego mam robić) i czekać na kostuchę. Zapadł zmrok i wszyscy sobie poszli. Tej nocy spałam jak dziecko, głęboko i długo.

Dopiero następnego dnia zrozumiałam, że popełniłam błąd. Podświadomie czekam na swój koniec. Ze strachu byłam niegościnna. Jest też pewne prawdopodobieństwo, że sobie wmawiam, że czekam na kostuchę, która nie podała orientacyjnej choćby pory, swojego przyjścia. Zła baba. Ale takie skrajnie chude szkielety są złośliwe. Mają wyjątkowo małe piersi i widocznie dlatego są takie zgorzkniałe i przewrotne. Są przygnębione, bo przecież nikomu wyschnięte na wiór postacie nie mogą się podobać. Mężczyźni patrząc na kobiety, najczęściej myślą o ich piersiach. Niektórzy poeci je opisują, nieco ukrywając temat, niewątpliwie ze względu na cenzurę. Tak to było kiedyś. Dzisiaj wszystkie sławne panie bezwstydnie pokazują nie tylko piersi, ale i pośladki. Tuwim napisał, a Grechuta

śpiewał, o śnie dziewczynki, która wolałaby mieć „pomarańcze” a nie „mandarynki” - sam wiersz jest trochę inny, ale od razu właściwie skojarzyłam, co miał na myśli. Powinien jeszcze dodać coś o melonach, ale to nie pasowałoby do rymów. Widocznie nie dodał ze względu na umiar. Aby pokazać całą prawdę o chłopach, powinien napisać tak:

Sen dojrzewającej dziewczynki
mieć pomarańcze, nie mandarynki
lub jak niektóre matrony
duże, jędrne melony.

Na melonach bym skończyła, pomijając inne jesienne warzywa. No tak, a ta sucha kostucha to nie ma nawet mandarynek – pewnie ma jakieś brukselki, na dodatek sine, podobnie jak cała ona.

Gdyby trochę zaczekała, to dałabym jej serdelka z buraczkami i kaszę gryczaną z sosem. A po tym niech macha kosą. Jakby się najadła, to by poszło łatwiej. Ale czy taki złośliwiec zrobi coś rozsądnego? Nic innego mi nie pozostaje tylko czekać... Stanę wobec niej z godnością. Niech tylko sobie nie myśli, że chcę ją częstować, aby odwlec uroczystość. Nakarmiłabym ją suto, aby dodać cherlawej babie sił.

Z zadumy wyrwał mnie Stasio. Przyszedł w odwiedzin. Rutynowa wizyta, czyli wpadł jak po ogień. Zdjął płaszcz, usiadł w fotelu i zapytał o moje samopoczucie. To nawyk. Powinnam rozpoczynać rozmowę ze swoim siostrzeńcem od słów - czuje się dobrze, bądź też mówić prawdę - czuję się tak, jak by mnie traktor przejechał i jeszcze wysypał na mnie przyczepę kartofli.

Zrobiłam kawę. Stasio pije z miodem. To niecodzienne. U nikogo innego nie spotkałam takiego dziwnego przyzwyczajenia. Kiedyś zapytałam, czemu psuje smak kawy miodem – odpowiedział, że dodaje mu to energii. Tylko po co mu dodatkowa energia? i tak ma jej aż za dużo. Nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu i porozmawiać ze starą ciotką, tylko wciąż gdzieś się śpieszy. Dokąd Stasiu się śpieszysz? Z tego pośpiechu, wydaje mi się, że zaraz wzniesie się w powietrze i zacznie latać. Wyleci przez okno, po czym przerazi się wysokości i spadnie. Po co ten pęd? Gdzie czas na przyjemności? Jesteś zdrowy, silny i sprawny. Powinieneś używać młodości, życia, bawić się a nie ganiać jak kot z pęcherzem za pieniędzmi. Starczy ci tyle, co masz. Wyhamuj.

Układałam sobie kolejną mowę w myślach, ale głośno nie odzywam się. Nie chcę, aby mi znowu

tłumaczył o zawiłości pracy, obowiązkach, solidności i tak dalej. Powinien, chociaż czasami, mieć to wszystko w nosie. Ale nie ma.

Moje przemyślenia doprowadziły do jednego generalnego wniosku: każdy człowiek dąży do nagrody i dlatego podejmuje różnorakie działania. Ale nagroda to nie dodatkowa premia, tylko radość z jej otrzymania. Czasem ktoś człowieka pochwali i pojawia się premia dodatkowa, przypuszczalnie najcenniejsza. Któż nie lubi być docenionym, jeszcze na dodatek głośno, publicznie, aby inni słyszeli.

Gdyby ci, co tak gnają na wyścigi do sukcesu, tak zwani karierowicze, wiedzieli, że chodzi głównie o jedną chwilę euforii po osiągnięciu celu, na pewno by trochę zwolnili, albo znaleźli inne radości. Ale oni pędzą na złamanie karku. Stasio mi powiedział, że to nazywa się wyścig szczurów. Jaka wygrana czeka zwycięzcę na końcu tego wyścigu? Sina suchotnica z kosą i brukselkami zamiast piersi.

Krytykuję innych, a sama zapalczywie dążę do zwycięstwa. Codziennie chcę wchodzić na swoje podium. Uda mi się wypróżnić – triumfuję, nie kręci mi się w głowie – radość, Stasio posiedzi u mnie dłużej – premia, zjem serdelka z barszczykiem – spełnienie, świadomość, że kostucha ma piersi niczym brukselki –

dodatkowe wyróżnienie.

Codziennie obławiam się niemiłosiernie. Codziennie mam nową kolekcję medali i pucharów. Gdyby nie reumatyzm i kłopoty z chodzeniem, też bym pędziła niczym jakaś wariatka, pukała się w głowę na pasach, chciała więcej, lepiej, przyjemniej... Tak czy inaczej, kiedy mnie zupełnie nic nie boli to widocznie najwspanialsza nagroda – na tym poprzestanę.

Zapytałam Stasia, czy jest zadowolony z pracy. Uśmiechnął się i mruknął coś, a potem badawczo spojrzał na mnie. Szybko się zreflektował – wie dobrze, że nie lubię takiego traktowania. Wyczuł, że powinien odpowiedzieć a nie mruknąć...

Powiedział, że w pracy trzymają go pieniądze. Spędza w niej pół życia; na zebraniach, w biurze, w podróży, u klientów i jeden Bóg wie jeszcze na jakich konferencjach i wystawach. Za pieniądze. Ma satysfakcję, jeśli wygra przetarg, podpisze umowę, dostanie premię, a może i dyplom, ale to nie jego prawdziwe życie. Wartości materialne są ważne, bo to zabezpieczenie dla rodziny. Obowiązek mężczyzny. No tak. On tyra, a reszta ma to w nosie. Moje stare uszy nie słyszały słów uznania ze strony dzieci i żony Stasia. Tak, tak, wiemy, że bywa przemęczony i zaraz dodają,

że dzięki niemu mają to i tamto, wakacje za granicą, modne ciuchy, duże mieszkanie w dobrej dzielnicy. Ale tak naprawdę to zachowują się tak, jakby im się to należało. Trzeba mieć nadzieję, że kiedyś docenią, gdy pójdą na swoje i będą same musiały się starać. Chyba, że Stasio będzie im pomagał. Byłby głupi. Nie nauczy ich niczego takim postępowaniem.

Stasio powinien robić to, do czego czuje powołanie. Mówi, że rzecz jasna by mógł, ale jako naukowiec nie zarobiłby na utrzymanie. Nic z tego nie rozumiem; naukowcy to ludzie bez potrzeb, bądź też w rodzinie mojego siostrzeńca po prostu się przelewa. Oj, będzie z tego nieszczęście, chociaż nie wiem jeszcze jakie.

Szkielekowa baba z kosą zapewne zabłądziła. Wyglądam jej i czekam. Coraz to nowe myśli przychodzą mi do głowy. Jestem zmęczona tym wyczekiwaniem. Niech ją diabli. Ale jak ją diabli wezmą, to wtedy nie przyjdzie. To byłoby prawdziwy dramat. Muszę być cierpliwa. Żaden diabeł nie skusi się na taką suchą kostuchę.

NOWICKA

Jestem Nowicka

Mam dwa imiona, ale nikt ich nie używa. Wszyscy zwracają się do mnie Nowicka. Tak właśnie się nazywam. Jestem o kilka lat starsza od swojej szwagierki Aliny. Nie wyglądam na swoje lata i ludzie myślą, że jestem dużo od niej młodsza. Dobrze się prezentuję. Od mojego wieku odejmują dekadę, albo i więcej, a to dlatego, że potrafię o siebie zadbać. W przeciwieństwie do Aliny, stosuję dobre kosmetyki, chodzę do fryzjera, codziennie rano gimnastykuję się, i co najważniejsze, nie pochłaniam garściami leków. Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego jesteśmy tak różne. Wychowane w tym samym robotniczym środowisku, w tej samej epoce, mieszkaliśmy na tej samej ulicy i przebywaliśmy bardzo często razem.

Alina to nerwowa kobieta. Podchodzi do życia zbyt emocjonalnie. Jej nazbyt rozbudowana fantazja, rzeczy proste i mało ważne przetwarza na barwne i skomplikowane do granic absurdu, jakby miały decydować o życiu lub śmierci.

Po mnie rzeczy mało istotne, spływają jak przysłowiowa woda po rynnie.

Różnimy się charakterami, wykształceniem i w związku z tym również i światopoglądem. Ja miałam więcej szczęścia. Po ukończeniu sześciu klas, dostałam edukacyjny zasiłek i zdobyłam średnie wykształcenie. Mam przedwojenną maturę, a to ma swoją wartość.

To, co ja wypełniłam wiedzą, Alina wyobraźnią. Za młodu często wracałyśmy o zmroku do swoich domów. Alina wyobrażała sobie, że goni ją jakiś bliżej nieokreślony potwór i nie oglądając się za siebie biegła ile sił w nogach. Ja też się nieco bałam ciemności, ale szłam powoli, zatrzymywałam się, nasłuchiwałam, oglądałam za siebie. W rękę trzymałam ostro zakończony kij.

Niewiele rzeczy potrafi mnie rozdrażnić. Wyjątek stanowi ruch uliczny. Teraz, to i w Borowicach prawie każdy ma dziś pojazd mechaniczny. Najbardziej popularne są małe, tanie jednoślady. Samochody, owszem, to znak zamożności, ale najczęściej się widzi hałaśliwe skuterki. Jedzie taki i nie patrzy. Często jedzie dwóch, i każdy z innej strony, to jest jeszcze gorzej. Na własne oczy widziałam, jak Miąsko, zwany potocznie Pocztaikiem, z pełną torbą listów i emerytur, bo to był dzień wypłaty, dosiadł swój motorower, nowy nabytek poczty. Z drugiej strony jechał Kaźmirek, dawniejszy milicjant, a w dniu

incydentu policjant-emeryt. Starszy już człowiek, bez wątpienia niedowidzący, wjechał prosto na Pocztařka. Ten, aby uniknąć zderzenia, przechylił się na bok i ciężka torba ściągnęła go do rowu, w którym ostatecznie spotkali się obaj.

Widok niesamowity: na trawie leży listonosz, obok Kaźmirek, ryczące silniki, kręcące się koła przewróconych maszyn, otwartą torba, rozsypane listy i pieniądze, i chmura spalin nad tym wszystkim.

Miąsko miewał już takie przygody, gdy zabawił za dęugo w knajpce, ale wcześniej jeździł rowerem i lokalna społeczność przyzwyczaiała się do niegroźnych incydentów. Kaźmirek od zawsze używał skutera.

Rozwój motoryzacji doprowadził do sytuacji niebezpiecznych, niepotrzebnych i naraża ludzi na wypadki drogowe. A najgorsze jest to, że tego nie da się zatrzymać. To nie są ułatwienia dla ludzi, a wręcz przeciwnie, to ludzie stają się podrzędni, podporządkowani postępowi.

Alina jednakże ma inne zdanie na ten temat. Postęp podoba jej się. Myślę, że gdyby była młodsza, to by sobie zrobiła kolczyk w pępku i kilka kolorowych tatuaży. Wszystko przez jej chorą wyobraźnię.